

Jak zabijać, to tylko we Lwowie



MARIUSZ GADOMSKI

Jak zabijać, to tylko we Lwowie

Mariusz Gadomski

Jak zabijać, to tylko we Lwowie

Promohistoria (Histmag.org)

Warszawa 2020

[Kup książkę](#)

Redakcja: Piotr Abryszeński
Korekta: Anna Agnieszka Skóra

Skład i łamanie: Tomasz Kiełkowski
Projekt okładki: Tomasz Kiełkowski

Na okładce wykorzystano zdjęcie bramy przy ul. Kopernika 16
we Lwowie, wykonane w 1933 r.

Wszystkie ilustracje w e-booku pochodzą ze zbiorów Narodowego
Archiwum Cyfrowego znajdują się w domenie publicznej.

ISBN: 978-83-65156-40-2
All rights reserved.
Copyright © 2020 by
PROMOHISTORIA Michał Świgoń

Warszawa 2020

e-mail: redakcja@histmag.org
www: <https://histmag.org>

*Wydanie elektroniczne. Jeśli posiadasz ten egzemplarz
z naruszeniem praw autorskich, zachęcamy: kup oryginalny
e-book i wesprzyj jego twórców.*

SPIS TREŚCI

Zabójstwo sklepikarki Lempertowej	7
Sprawa Pinkasa Mangotta	29
Zbrodnia na Cmentarzu Łyczakowskim	53
Polityczny mord na Trybunalskiej	111
Niesłychane morderstwo w klasztorze karmelitów	151
Tajemniczy doradca-cień	177
Lwowska układanka	191
Słownik lwowski	217
Bibliografia	219



Więzienie przy ulicy Kazimierzowskiej we
Lwowie znane pod potoczną nazwą „Brygidki”

Zabójstwo sklepikarki Lempertowej

W niewielkim sklepie korzennym przy ulicy Panieńskiej pod numerem 16 można było kupić nie tylko pieprz, imbir czy majeranek, ale również mleko, butki, tytoń, papier listowy i przybory do pisanie. W zasadzie każdą drobnicę. Właścicielka interesu, Rachela Lempertowa, znana w dzielnicy zamarstynowskiej jako Różka, już przed siódmą rano stała za ladą. Zamykała o dziewiętnastej – ale tylko w teorii, żeby władza jej się nie czepiała. W praktyce handel nie ustawał do późnych godzin nocnych. Do zamkniętego od frontu sklepiku można się było dostać od podwórka przez maleńki pokój mieszkalny Żydówki, który się z nim łączył. Różka nikomu nie odmawiała zakupów – pod warunkiem, że miało się czym za nie zapłacić.

Zdrobnienie imienia mogło sugerować kobietę miłą, łagodnego charakteru. W rzeczywistości Lempertowa była zgryźliwa, skąpa i nieufna. Nigdy się nie uśmiechała, ludzi traktowała z góry. Byli dla niej tylko klientami. Wszystkich traktowała tak, jak demokracja nakazywała: na równi pogardała biedotą zamarstynowską

i eleganckimi paniusiami, które kręciły nosami, że z fajek akurat zabrakło „damskich”.

Tłumaczono to staropanieństwem Różki. Jej ciało schło. Podobno pomimo skończonych czterdziestu dwóch lat nie kochała się jeszcze z żadnym mężczyzną.

W kwestii jej majątku zdania były podzielone. Jedni mówili, że sklepikarka ledwie wiąże koniec z końcem; na własne uszy słyszeli, jak pomstowała w jidysz na inflację i wysokie podatki. Chodziła ubrana jak żebraczka z placu Solskich. Inni twierdzili natomiast, że to zaślona dymna. Ponoć Różka miała na własność całą kamienicę, a do tego jeszcze brata w Ameryce, który regularnie przysyłał jej dolary. Rację mieli ci drudzy.

Na sto procent martwa!

14 kwietnia 1924 r., w poniedziałek po Niedzieli Palmowej, Lempertowa nie otworzyła, jak co rano, sklepu. Przy wejściu niecierpliwiła się kolejka. Klienci stukali w witrynę i nic. W końcu jeden z mieszkańców domu, starszy jegomość, zajrzał od podwórza. Drzwi do mieszkania handlarki były otwarte. Mężczyzna wszedł i zaraz wyszedł.

– Tam jest trup – powiedział nieswoim głosem. Wybuchł tumult: „Taż to ni może być! Wypadek jaki? Może atak sercowy albo apopleksja? Na pewno trup, a nie zwykłe omdlenie?”

Spora grupka, w tym niedorośli chłopak i kilka wiedzionych ciekawością kobiet, weszła do sklepu. Rachela Lempert leżała na podłodze tuż obok lady. Jej głowa była przykryta workiem, z którego wysypały się kartofle. Uniesiono ten worek, żeby sprawdzić, czy handlarka żyje. Była na sto procent martwa, na jej szyi widniały sine ślady palców, a na twarzy krew. Sklep miał niewiele ponad metr szerokości, ludzie tłoczyli się gęsiego, żeby przyjrzeć się trupowi.

– Ta ni ma tu nic do oglądania! – zawołał jakiś mężczyzna. – Pulicajów trza zawezwać. A ty, durna kubito, nie dotykaj niczego, bo cię o mord posądzą! No już, hajda stąd wszyscy!

Po kilku minutach na miejsce zbrodni przybył komisarz Franciszek Batorski wraz z wywiadowcami Podbrożnym i Kuszlikiem z I komisariatu przy ulicy Jabłonowskich. Zaraz po nich zjawiał się lekarz dzielnicowy dr Litwinowicz, który stwierdziwszy zgon Lempertowej, przystąpił do wykonywania badań pośmiertnych. Niezbędne było uniesienie głowy zmarłej. Jeden z policjantów poszedł po dozorczynię kamienicy, Maruniakową, i kazał jej wykonać tę nieprzyjemną czynność. Biedna kobieta nie oponowała, jednak nie chcąc patrzeć na trupa, zamknęła oczy.

Diagnoza lekarza brzmiała: uduszenie gołymi rękami. Lempertowa stoczyła przed śmiercią walkę ze sprawcą. To były na razie wstępne ustalenia. Maruniakowa raz jeszcze została zmuszona do dotykania zwłok, gdy polecono jej pomóc w przeniesieniu ciała do ambulansu, który przetransportował je do Zakładu Medycyny Sądowej na Piekarskiej, gdzie miała być zrobiona sekcja.

Wszystko wskazywało na rabunkowe tło morderstwa. Sklep był splądrowany, kasa, szuflady i szafki otwarte. Na ladzie leżała nienapoczęta paczka „domowych”. Być może sprawca zaatakował kobietę w chwili, gdy kupował papierosy, a po zamordowaniu jej i przeszukaniu sklepowych zakamarków zapomniał je zabrać. Zapewne spodziewał się obfitego łupu, prawdopodobnie słyszał o dolarach Żydówki, chęć ich zdobycia pchnęła go do zbrodni. Jednak o bogatym bracie w Ameryce wiedzieli przede wszystkim mieszkańcy pobliskich ulic, najczęściej robiący zakupy u Rózki. Wyglądało na to, że policji nie ominie wątpliwa przyjemność zagłębienia się w mało przyjazne zaułki Zamarstynowa, aby pośród tamtejszych apaszy szukać zabójcy.

Pojawił się trop. Przy wejściu do sklepu gromadził się coraz gęstszy tłum. Robotnicy, okoliczne kumoszki, żydowski roznosiciel bułek, listonosz. Każdy przystawał, wyrażał swoje zdanie. Nawet bosonogie urwisy porzuciły szmaciankę i stojąc w kałuży po nocnym deszczu, gapiły się i potraçały porozumiewawczo łokciami. Lwowski bałak, który ma to do siebie, że ludzie mówią dużo i głośno, mieszał się z łamanym jidysz.

Mundurowy policjant pełniący straż przy drzwiach mierzył nieprzychylnym wzrokiem tę rozgaworzoną ciżbę. Czyżby ludzie nie mieli własnych zmartwień, że tak się interesują cudzą tragedią? I mało jeszcze, że gadają jak najęci, to wleźliby do środka i zadeptali wszelkie ślady, gdyby im pozwolić. Ot, chociażby te dwie dziunie, co do okna zaglądnęły. Aż się chyćkają, żeby coś zobaczyć przez zakurzoną szybę. Stracił w końcu cierpliwość.

– To panienki nie wiedzą, że jest śledztwo i nie wolno się tu kręcić? – odezwał się surowo. – Co takie ciekawe, trupa nie widziały?

Dziewczyny odstępowały o krok, ale nie odeszły. Ta młodsza, postawna ciemna blondynka, która – z tego, co posterunkowy wiedział – mieszkała na sąsiedniej ulicy, odpowiedziała bynajmniej nie skonfundowana.

– Ale my nieciekawe trupa. Sprawę mamy do pana komisarza.

Policjant, wciąż nasrożony, mruknął, że pan komisarz bardzo zajęty, nie ma czasu na głupoty. Panienki najlepiej zrobią, jak sobie pójdą. Smarkuła się nabuńdurzyła. Rzuciła obrażonym tonem:

– Dobrze, pójdziemy, ale potem nie mówcie, że ludzie wam nie pomagają. Bo ja właśnie chciałam pomóc. Ja chyba wiem, kto zabił Różkę...

Świadek naoczny i świadek nauszny

Komendantem lwowskiej policji miejskiej był inspektor Bronisław Łukomski. Jego praca polegała głównie na rozdzielaniu zadań i koordynowaniu dochodzeń. Jako wytrawny śledczy czasami nie mógł jednak usiedzieć za biurkiem w przestronnym gabinecie komendy przy Kazimierzowskiej 30. Ciągnęło go na ulicę jak wilka do lasu. Kiedy tylko był wolny od innych obowiązków, jechał na miejsce zbrodni lub napadu, badał ślady, przesłuchiwał podejrzanych.

Tak było w przypadku tajemniczego morderstwa sklepikarki. Z jakichś powodów ta zbrodnia go poruszyła. Może dlatego, że popełniono ją w jednej z najuboższych dzielnic. Zamarstynów za Wysokim Zamkiem, kiedyś osobna wieś, to taki ówczesny lwowski Bronx. Miejsce złe, strefa wykluczonych, siedlisko

złodziei i morderców. Pijacek tarza się w rowie, w cuchnącej moczem bramie smytrają frajera, z okna wypada doniczka i leci wiązanka „życzeń”. Tak się bawi bieda z nędzą.

Łukomski nie był bezdusznym stupajką. Na policyjnej robocie zjadł zęby. Zdawał sobie sprawę, że bieda doprowadzona do krytycznego punktu wyzwala najgorsze instynkty. Sprawcy nie zawsze są ludźmi z gruntu złymi. Bardzo często niemożność zaspokojenia życiowych potrzeb i ambicji robi z nich bestie...

Przyjechał do sklepiku Lempertowej niedługo po przekazaniu zwłok do kostnicy przez policjantów z I komisariatu. Był z tego powodu wściekły. Znowu to samo, oni nigdy się nie nauczą – myślał o swoich podkomendnych. Popełnili duży błąd, zabierając ciało bez udokumentowania, w jakim było położeniu, w dodatku, wynosząc je, poprzestawiali różne przedmioty. Owszem, stwierdzili, że zamordowana walczyła ze sprawcą o życie, ale to za mało. Powinni wykonać pomiary i obrysy, sprawdzić, czy kobieta nie trzymała czegoś w ręku. Zapomnieli albo im się nie chciało. Teraz trudno będzie to odtworzyć.

Ale i tak dobrze, że chociaż odstawili zwłoki do prosektorium, a nie od razu na cmentarz, jak to niedawno uczyniono ze szczątkami więźniarki, które zostały znalezione w trakcie rozbiórki starego muru na Brygidkach. Nie ma sensu się burzyć, ten się nie myli, kto nic nie robi, a oni – myślał o swoich młodszych kolegach – ciągle się jeszcze uczą.

Humor poprawiła mu wiadomość, że Batorski dotarł do świadka, który przypuszczalnie widział mordercę. Dziewczyna, siedemnastoletnia Stefania Sochańska zamieszkała przy ulicy Piastów 25, na szczęście została dopuszczona do komisarza, który ją z uwagą wysłuchał. Powiedziała, że poprzedniego dnia o 9.30 wieczorem robiła u Różki późne zakupy. Wychodziła od strony podwórka. Minęła się tam z młodym mężczyzną, który zamierzał wejść do sklepu. Czy wszedł, nie widziała, bo zaraz pobiegła do domu, żeby zdążyć przed zamknięciem bramy o godzinie dziesiątej.

Inspektor Łukomski miał się udać do Zakładu Medycyny Sądowej, ale zmienił plany. Posłał posterunkowego, żeby sprowadził

Sochańską, bo chciał, by mu wszystko powtórzyła. Dziewczyna wydała mu się rezolutna. Stwierdziła, że chociaż widziała tamtego mężczyznę tylko przez chwilę, byłaby w stanie go rozpoznać, gdyby zobaczyła go ponownie.

– Być może jest na to sposób – powiedział inspektor. – Mamy na komendzie zdjęcia różnych ludzi. Pojechałaby panna Stefania ze mną, usiadła wygodnie i pooglądała je sobie?

Sochańska lekko się spłoszyła, uspokoił ją więc, że to nic strasznego. Nawet jeśli nikogo nie rozpozna, nie będzie żadnej kary. I tak już dużo pomogła policji, zasługuje na nagrodę.

– Dobrze, pojedę – zgodziła się. – A mogę się pana inspektora o coś zapytać?

– Słucham.

– Ja... ja się bardzo interesuję śledztwami kryminalnymi. Czytam pasjami powieści detektywistyczne. Czy... czy jak więcej jeszcze pomogę, to weźmiecie mnie do pracy w policji?

– No cóż... – Łukomski nie chciał nic obiecywać, chociaż dziewczyna coraz bardziej mu się podobała. – O ile wiem, kobieca policja ma zostać utworzona, więc szansa jest. Tylko że chyba nie będzie się zajmować morderstwami, lecz innymi sprawami.

– Szkoda, wolę zbrodnię, krew... Jak Sherlock Holmes, o którym czytałam. Ale dobre i to.

Stefcia przejrzała fotografie przestępców z policyjnych kartotek i klasnęła w dłoń. Rozpoznała na zdjęciu człowieka, którego mijła przy sklepie Lempertowej. Była pewna, że to on.

Zdjęcie przedstawiało Karola Sadzenicę, bezrobotnego z ulicy Zamarstynowskiej, karanego za kradzieże. Ostatnio jakby się usatkwował, już dawno za nic go nie zatrzymywano, ale buchacz to buchacz. Zbliżały się święta, może chciał je spędzić na bogato, więc poszedł na robotę do Żydówki?

Sadzenicę aresztowano w mieszkaniu. Zapierał się zbrodni. Utrzymywał, że wie o niej tylko tyle, ile od ludzi usłyszał. Jednak jak ustaliła policja, w niedzielę wieczorem widziała go na Panieńskiej nie tylko Stefania Sochańska, ale też inne osoby.

– Ta cóż w tym dziwnego? Mieszkam przecie blisko, to i spo-
tkać mnie tam można. Ale nie zabiłem.

Twierdził, że o godzinie dziesiątej przebywał „na hawirze”,
czyli w mieszkaniu. Zaświadczyć mogła o tym jego żona, którą
niedawno poślubił. Co robił w domu? A co można robić w nocy
z młodą, ładną żoną?

– Razem żeśmy pracowali nad powiększeniem rodziny
na chwałę Polski naszej ukochanej – rzucił.

– Czy ktoś to może potwierdzić?

– Panie przudowniku, a cóż to za pytanie? Przecie my nie
zbochenicy, żeby się kochać przy obcych osobach...

Czyli że świadków nie ma.

Sadzenica spędził w areszcie na Kazimierzowskiej kilkadzie-
siąt godzin, nim został wypuszczony, ponieważ okazał się niewinny.
Miał szczęście. Co prawda nie znalazł się naoczny świadek jego mi-
łosnych igraszek z żoną, ale był świadek „nauszny”. Ściany w miesz-
kaniu Sadzeniców były cienkie jak papier, świadek ów zeznał więc,
że słyszał, i to dobrze, jak jego sąsiad mniej więcej od godziny wpoł
do dziesiątej wieczór skutecznie z żoną pracą nad powiększeniem
rodziny. Nawet był w stanie podać, ile razy próbowali.

Komisarz Konarski wpada na trop

Rozpoznawanie podejrzanych na podstawie okazanych zdjęć nie
jest idealną metodą. Świadkowie się sugerują, na przykład osob-
nik z fotografii jest podobny do kogoś nielubianego, więc na niego
wskazują, albo wybierają pierwsze z brzegu zdjęcie, ponieważ ni-
kogo nie rozpoznali, ale wstydzą się, że zawiedli policję.

Inspektor Łukomski nie podejrzewał Stefci Sochańskiej,
że celowo wprowadziła go w błąd. Wierzył, że dziewczyna na-
prawdę chciała pomóc. Podziwiał ją. Gdy jechali na komendę,
opowiedziała mu o swoim niezbyt radosnym życiu. Ojciec, cze-
ladnik piekarski, umarł kilka lat temu, matka choruje. Stefcia mia-
ła jedną starszą siostrę i troje młodszego rodzeństwa w wieku
szkolnym. Cała szóstka plus dwoje sublokatorów gnieździł się

w małym mieszkaniu przy ulicy Piastów. Każdego ranka toczyli boje o miednicę do mycia. Stefania, żeby ulżyć matce, przerwała naukę i razem ze starszą siostrą poszła do pracy w fabryce wyrobów stolarskich. Niestety w grudniu fabryka została zamknięta. Rodzina znalazła się w krytycznym położeniu, groziła im eksmisja. Dziewczyna szukała więc nowej pracy, na razie bez skutku, ale jak zapewniała Łukomskiego, nie puści się „na lekką drogę”.

Dzielna panna – myślał inspektor. Dzielna i niegłupia. Może warto byłoby mieć kogoś takiego w policji...

Tymczasem po wypuszczeniu z aresztu Sadzenicy śledztwo w sprawie zabójstwa Lempertowej stanęło w martwym punkcie. Zatrzymano kilku okolicznych złodziei. Przesłuchano ich, a następnie zwolniono. Nie było przeciwko nim dowodów, zresztą oni nie byli z tych, co parają się mokrą robotą.

Dni mijały i nic. Dopiero pod koniec kwietnia na poważniejszy trop wpadł komisarz Tadeusz Konarski, kierownik I komisariatu. W trakcie przesłuchań świadków i potencjalnych podejrzanych pojawiło się nazwisko osoby dobrze znanej organom ścigania.

Była to Julia Mularczykówna, lat osiemnaście, zamieszkała przy ulicy Sieniawskiej. Julka zarabiała na życie jako panienka lekkich obyczajów. Nie była jednak zarejestrowaną prostytutką, nie posiadała tak zwanej czarnej książeczki z aktualnymi badaniami zdrowia. Nierząd uprawiała, rzec by można, po amatorsku, chociaż jeśli chodzi o „fachowe” umiejętności, nie ustępowała profesjonalistkom. Słynęła z urody i okradania klientów i to właśnie wykluczało ją z grona zawodowych prostitutek – były składane na nią skargi na policji. Utrzymywała ożywione kontakty z kryminalistami z Zamarstynowa. Nie tylko z drobnicą złodziejską, ale także z tymi, którzy mieli na koncie grubsze napady.

Dwa fakty nakazywały komisarzowi szybko zatrzymać Julkę i wziąć ją w krzyżowy ogień pytań. Po pierwsze, ludzie widzieli ją w tłumie pod sklepem Lempertowej w dniu odkrycia zbrodni, po drugie, dziwnym zbiegiem okoliczności kilka godzin wcześniej tego samego dnia została wypuszczona z aresztu, gdzie trafiła

za jakąś kradzież, po zapłaceniu kaucji w wysokości stu milionów marek polskich. To ładny kawałek grosza. Mało prawdopodobne, żeby to były oszczędności tej małej dziwki.

Początkowo dziewczyna próbowała czarować policjanta swoim urokiem, strzelała w jego kierunku oczami. Konarski był jednak odporny na takie sztuczki. Zadawał konkretne pytania, żądając konkretnych odpowiedzi.

– Co robiłaś piętnastego kwietnia pod sklepem Lempertowej?

– Panie komisarzu, nic takiego nie robiłam. Usłyszałam, że zabili Żydówkę na Panieńskiej i z ciekawości tam poszłam. Przecie ja mieszkam na Sieniawskiej, więc to jakby moja sąsiadka była. Tylko stałam i patrzyłam. Przecież jej nie zaciukałam, bo byłam wtedy na Brygidkach.

– Kto cię wykupił z aresztu?

– Ta joj panie komisarzu, co za niedyskrecja pytać kobietę o takie rzeczy! Może to był prezent od wielbiciela...

– Kto był tym wielbicielem?

Julka zmarszczyła piękne brwi i zagryzła wargę. Coś rozważała w swoim umyśle. Konarski ponowił pytanie i ostrzegł ją, że jeśli nie odpowie, pójdzie siedzieć za współudział w zbrodni.

– Dobrze, to ja już powiem. Wykupili mnie Władysław Kędzierski i Antoni Mysłowski. Kędzierski to mój kochanek, a Mysłowski dobry znajomy.

Podane przez Mularczykówną nazwiska też były znane policji jak zły szeląg. Apasze z ulicy Łamanej, karani za włamania i dołiniarstwo. Antoni Mysłowski nosił w złodziejskiej ferajnie ksywkę „Tośko”. Władysław Kędzierski chyba nie miał żadnej.

– Piętnastego w południe wyszłam z aresztu. Kędzierski czekał na mnie pod Brygidkami. Powiedział, że to dzięki niemu i Mysłowskiemu jestem wolna, bo zapłacili za mnie kaucję sądową. I jeszcze mówił, że rano był z „Tośkiem” na jakiejś robocie, ale wyszła poruta, bo tam, gdzie poszli, jakaś Żydówka z balkonu spadła i się zabiła. To jego własne słowa! Później dowiedziałam się z gazet o morderstwie Lempertowej na Panieńskiej. Spytałam Władka, czy to ta sama, co niby wypadła z balkonu, ale kazał mi

się zamknąć i nie zadawać pytań. Tyle mogę powiedzieć, bo nic więcej nie wiem. Jak babunię kocham, przysięgam, że to prawda!
– zaklinała się żarliwie dziewczyna.

– A kochasz ją? A kochasz ją?

– No... babunia już na tamtym świecie, ale jak żyła, to ją kochałam. I teraz nie kłamię...

Jest sztemp, brykajmy stąd!

Panowie Kędzierski i Mysłowski zaszczylicili swoją obecnością dotek na Kazimierzowskiej w dniu 28 kwietnia 1924 r. Policja zatrzymała ich w Pasażu Mikolascha, gdy szli do kina. Zapewne było to kino „Uciecha” Ludwika Kuchara, które specjalizowało się w westernach.

Zbudowany w XIX wieku Pasaż Mikolascha był jedną z najjaśniejszych lwowskich pereł. Mieściły się w nim modne magazyny i eleganckie kawiarnie. Bywały tu elity. Być może jednak nie było wielkiego zdziwienia na widok dwóch oberwańców, prowadzonych w kajdankach przez policję. Jakkolwiek by patrzeć, to wciąż był Lwów, a we Lwowie nie na darmo śpiewano, że „i bogacz, i dziad tu są za pan brat”.

Areszt nie był dla nich pierwszą, toteż nie pękali, gdy trafili do cel. Z knajackim uporem twierdzili, że nic nie wiedzą o morderstwie Żydówki, a Mularczykównej nigdy nie widzieli na oczy. Jednak jako doświadczeni kryminaliści zdawali sobie sprawę, że policja wie za dużo, żeby udało im się wykipić łgarstwami. Toteż, aby nie pogarszać swojej i tak bardzo kiepskiej sytuacji, zaczęli mówić. Na początek o sobie.

Opowiedzieli, że znają się od małości. Mieszkali blisko siebie, jako kindrussy grali w klipę i toczyli bójki z łobuziakami z innych ulic. Potem poszli do tej samej szkoły. Okres nauki szczególnie wbił im się w pamięć, ponieważ pierwszą klasę powtarzali aż sześć razy (!). Zawiązała się między nimi prawdziwa męska przyjaźń. W 1919 roku, w czasie wojny polsko-ukraińskiej, Kędzierski brał udział w obronie Lwowa, dosłużył się stopnia kaprała. Na pierśiach wytatuował sobie symbol oddziału, w którym walczył.

Po powrocie z frontu uściskał serdecznego druha, a „Tośko” wciągnął go do „interesu”. Były to kradzieże na wyrwę na placu Solskich i od czasu do czasu grubszy „ajnbruch”, czyli włamanie. Ma się rozumieć, wiedzieli, że powinni pójść do pracy, by zarabiać na utrzymanie, jednak cała bieda w tym, że pracy dla takich jak oni, niekształconych, nigdzie nie było i nie ma: „Ta niech pan kumisarz powie, gdzie jaka praca jest, tak ja w ty pędy tam polecę...”.

Mniej więcej przed rokiem poznali Julkę Mularczykównę. Wiedzieli, że jest dziwką, ale co im to... Obaj jednocześnie zakochali się w niej po uszy. Nie zdarzyło się jednak to, co w książkach i kinematografie – że miłość do dziewczyny poróżniła przyjaciół. Co to, to nie! Kochali się w Julce osobno i jeden drugiemu nie wchodził w paradę. Przynajmniej tak utrzymywał Mysłowski. Jego przyjaciel nie potwierdził tego, a Mularczykówna przyznała się do intymnego związku tylko z Kędzierskim.

Tak czy inaczej, żyli sobie we trójkę pomalutku a szczęśliwie. Żeby dogodzić Julce, obdarowywali ją wykwinnymi prezentami. By mieć za co je kupować, zintensyfikowali „interes” na placu Solskich. Aż tu nagle katastrofa! Dziunię im policja przyaresztowała! To było z tydzień przed zabójstwem na Panieńskiej – „Jakiś hołodyga doniósł, że mu zasmytrała portfel, co go miał w karmanie. No i bida, panie, jak żyć?”.

Ale oni nie z takich, co siedzą i się mażą. Wiedzieli z doświadczenia, jak się wyciąga ludzi z więzienia. Udali się do znajomego adwokata, a ten na liczydłach policzył, że będzie ich to kosztowało – sto pięćdziesiąt milionów marek. Sto milionów to sądowa kaucja, reszta dla niego jako prowizja. Sporo, ale dla Julki oddaliby ostatnią koszulę. Mieli zakitrane tylko pięćdziesiąt milionów. Tyle dali papudze. Pozostałą kwotę mieli dopłacić za kilka dni. Tylko skąd ją wziąć?

Według zeznania Władysława Kędzierskiego 15 kwietnia około szóstej rano Mysłowski przyszedł do niego i oświadczył, że jest robota. Z Łamanej doszli do Zamarstynowskiej, zatrzymali się przy skrzyżowaniu z Panieńską.

– „Tośko” ruszył w dół ulicy. Ja miałem na niego czekać. To był zwiad. Po jakichś dziesięciu minutach wrócił i powiedział, że jest git, zaraz będzie robota – zeznawał Kędziński.

Mysłowski kazał mu zostać na czatach, a sam poszedł tam, gdzie miał zrobić skok. Nie powiedział, co to za miejsce. Tym razem zabawił pół godziny. Gdu wrócił, był wzburzony. Kędziński spytał go, co się stało.

– Jest sztemp, brykajmy stąd – odparł przyjaciel. W złodziejskim slangu znaczyło to, że się nie udało i trzeba brać nogi za pas.

Kędziński powiedział, że nie pytał „Tośka” o szczegóły. Przyjaciel sam mu napomknął, że gdy doszedł do Panieńskiej 16 pod sklep korzenny, który zamierzał okraść, „jakaś Żydówka spadła z balkonu” (to z kolei po złodziejsku oznaczało, że została zabita). Kędziński nie chciał nic więcej wiedzieć. Potem już na ten temat nie rozmawiał z Mysłowskim, nawet gdy dowiedział się na mieście o zabójstwie Lempertowej. Cóż go to mogło obchodzić?

Antoni Mysłowski zaprzeczył zeznaniu Kędzińskiego. Utrzymywał, że nie wie, o czym mowa. Nie proponował koledze żadnej roboty, na skok żaden nie chodził, na Piekarskiej nie był już z miesiąc. Nie zabił Żydówki i pierwsze słyszy, jakoby mówił, że spadła z balkonu.

Policja skłonna była uwierzyć tylko w jedno: „Tośko” nie zamordował właścicielki sklepu. Zrobił to Kędziński. Od początku jego wersja, jakoby wspólnik nie wtajemniczył go szczegóły skoku i kazał mu zostać na czatach, brzmiała nielogicznie. Przecież złodzieje tak nie robią. Owszem, dzielą się rolami: jeden kradnie, drugi stoi na winklu i w razie czego daje umówiony sygnał do ucieczki – ale musi wiedzieć, gdzie wspólnik poszedł na robotę.

Oczywiście tłumaczenie Mysłowskiego, że wszystko jest wymysłem jego przyjaciela, komisarz Konarski włożył między bajki. Poszli we dwóch. Ale to „Tośko” został na „lipkach”, a Kędziński obrabował Lempertową i przy okazji ją udusił. Potem ze zrabowanych pieniędzy zapłacili adwokatowi resztę należności. Zapewne za chińskiego cesarza nie powiedzą któremu. W południe Julka wyszła na wolność. Tu się bajka kończy.

Przeciwko Kędzierskiemu świadczyły ślady skaleczeń na jego rękach – ktoś go podrapał. Były to małe blizny sprzed kilkunastu dni. Układanka pasowała. Wszak Lempertowa przed śmiercią szarpała się z zabójcą, walcząc o życie. Zapewne broniąc się, użyła swoich szponiastych paznokci. Na pytanie, skąd te blizny, Kędzierski opowiedział mało wiarygodną historyjkę, jakoby piętnastego, a może szesnastego kwietnia pokłócił się z siostrą, która go podrapała. Zapytana o to znienacka Anna Kędzierska, jeszcze nie wiedząc o aresztowaniu brata, nie udzieliła jasnej odpowiedzi. Stwierdziła, że nie przypomina sobie tego.

Policja raz jeszcze poprosiła Stefanię Sochańską na komendę. Dziewczyna bała się, że jeśli rozpozna mordercę, to będzie się on na niej mścił. Dopiero gdy inspektor Łukomski uspokoił ją zapewnieniem, że ten człowiek jest pod kluczem i nic jej nie zrobi, zgodziła się uczestniczyć w okazaniu.

Pokazali jej Kędzierskiego i Mysłowskiego. Tym razem Stefania zastanawiała się dłużej niż nad zdjęciami. Nie miała jednak wątpliwości.

– To on! To jego wtedy widziałam – powiedziała, wskazując na Kędzierskiego.

Coś tu nie gra

Kędzierskiego i Mysłowskiego umieszczono w osobnych celach aresztu przy ulicy Jachowicza; pierwszego oskarżono o dokonanie zabójstwa Racheli Lempertowej i napadu rabunkowego, drugiego o współudział. Obaj zapierali się winy, twierdzili, że siedzą „za bezdurno”, przyjęli rozpaczliwą linię obrony: Kędzierski zapowiadał, że się powiesi, „Tośko” symulował chorobę umysłową. Na nikim nie robiło to wrażenia.

W prasie lwowskiej ukazały się artykuły chwalcące policję za rozwiązanie zagadki morderstwa. „Gazeta Poranna” pisała, że dzięki energicznym działaniom i przenikliwości inspektora Łukomskiego i komisarza Konarskiego społeczeństwo może wreszcie spać spokojnie, wiedząc, że sprawcy tej ohydnej zbrodni

znaleźli się za kratami i nie stanowią zagrożenia. Wymienieni policjanci czuli się niezręcznie. W miarę dalszych postępów śledztwa dochodzili bowiem do wniosku, że coś tu nie gra.

W czasie sekcji zwłok Lempertowej lekarze z Zakładu Medycyny Sądowej stwierdzili na plecach i prawym boku zamordowanej wyraźną obecność sinych plam opadowych. W tych samych miejscach zauważył je dr Litwinowicz, gdy uniósł wierzchnią odzież kobiety. Plamy opadowe w pełni wykształcają się dopiero po około dwóch-czterech godzinach od zgonu. Mogą przemieścić się w przypadku zmiany pozycji ciała, jednakże po dziesięciu-dwunastu godzinach tracą możliwość przemieszczania się, ponieważ zostają utrwalone. Skoro zatem zgon Lempertowej stwierdzono o godzinie 7.30 w poniedziałek piętnastego kwietnia, to musiała zostać uduszona około dwudziestej drugiej w niedzielę czternastego.

Pozornie nie było tu żadnej sprzeczności. Stefania Sochańska o 9.30 wieczór robiła zakupy u Różki, a kilka minut później, gdy szła do domu, spotkała w pobliżu sklepu Władysława Kędzińskiego. Tyle tylko, że w tym samym czasie podejrzany przebywał w innym miejscu. Miał na to świadków. Dopiero nazajutrz o szóstej poszedł z „Tośkiem” na Panieńską zrobić skok. A w poniedziałek o świcie Lempertowa już od kilku godzin leżała zimna na podłodze w swoim sklepie.

Nawet jeżeli alibi Kędzińskiego nie było stuprocentowe – jako że zapewnili mu je ludzie podobnego pokroju – to na jego korzyść świadczyła poniedziałkowa wyprawa złodziejska. Jeżeli zabiłby Żydówkę w niedzielę, nie chodziłby na skok w poniedziałek; ba, trzymałby się jak najdalej od miejsca zbrodni, wiedząc, że może już tam być policja. A jednak poszedł tam z Mysłowskim – i nie tylko oni tak twierdzili. Stróż jednej z pobliskich kamienic widział, jak w poniedziałek o świcie kręcili się koło sklepu Żydówki. Bez trudu rozpoznał jednego i drugiego.

Jako bardzo na razie ostrożną hipotezę można było przyjąć następujący scenariusz: w poniedziałek o szóstej Kędziński wybrał się z „Tośkiem” obrobić Różkę, o której wiedzieli, że ma

dolary. Dostali się do sklepu przez mieszkanie Żydówki i znaleźli ją martwą. To był właśnie ten „sztemp”. Albo przerażili się i uciekli bez łupu, albo chęć wykupienia Julki z aresztu była silniejsza niż strach. Bardziej prawdopodobne było, że nie wyszli z pustymi rękami, skoro ich dziewczyna kilka godzin później odzyskała wolność. Ale nie zabili Lempertowej.

Inspektor Łukomski miał wrażenie, że umknął mu ważny szczegół. Coś, o czym dowiedział się i co widział pierwszego dnia śledztwa. Nie mógł sobie teraz przypomnieć, co to było, ta myśl coraz bardziej go dręczyła. Bywały chwile, kiedy zapadka w jego pamięci już się niemal otwierała. To się wiązało z Zakładem Medycyny Sądowej i komisarzem Konarskim. Ale co, do cholery?! – zastanawiał się Łukomski, gładząc w zamyśleniu wąsy, które wedle ostatniej mody ograniczały się do wąskiego paska zarostu nad górną wargą.

I naraz doznał olśnienia.

Włosy. To były włosy.

W poniedziałek 15 kwietnia nie miał czasu pojechać do Zakładu Medycyny Sądowej, żeby przyjrzeć się zwłokom sklepikarki, które zbyt pośpiesznie tam odstawiono. Tak się złożyło, że w zakładzie załatwiali jakąś inną sprawę komisarz Batorski i wywiadowca Majba. Kiedy dowiedzieli się, że właśnie przywieziono trupa zamordowanej kobiety, z ciekawości zeszli do piwnicy, gdzie złożono ciało. Konarski zauważył, że Lempertowa zaciska w martwej dłoni kosmyk włosów. Pokazał je później inspektorowi Łukomskiemu, który nakazał dołączyć te włosy do dowodów rzeczowych.

Potem jednak wyszła sprawa z Sadzenicą i zapomniał o nich. Ale teraz już wszystko wiedział. To był kosmyk długich jasnobrązowych włosów.

Najciemniej jest pod latarnią.

Łukomski sięgnął po telefon i zakręcił korbką tak energicznie, że omal jej nie urwał. Zarządził sprowadzenie do komendy w trybie pilnym dwóch osób, które zamierzał przesłuchać.

Raskolnikow w spódnicy

– Możecie przysiąc, że to było pięć minut po godzinie dziesiątej wieczór? Dobrze się zastanówcie, bo zeznacie do protokołu...

– Ta co ja mam się przysięgać po próznicy? Pan inspektor może nie wie, że punkt dziesiąta bramę mus zamknąć, bo inaczej kara? – Anna Menylowa, dozorczyń kamienicy przy ulicy Piastów 25, poprawiła chustkę pod brodą, podkreślając tym gestem, że władza nie będzie jej uczyć przepisów. – No to ja zamknęła ją z zygarkiem w ręku. I pięć minut upłynęło, jak ta marmuzela się przykatulała i zaczęła stukać, coby ją wpuścić. No to ja otwarła, a ona ani me, ani be, tylko od razu poleciała na piętro, jakby diabeł ją gonił. Ale taki tera wychowani, panie inspektorze.

– Dobrze, dziękuję, pani Menylowa, proszę podpisać w tym miejscu i jest pani wolna.

Była blada, po twarzy spływały jej strugi potu. Przysłuchanie Stefanii Sochańskiej trwało już kilka godzin.

– Od początku grałaś z nami w kotka i myszkę, wskazując fałszywe tropy! – grzmiał Łukomski. – Broniłaś się, ja to rozumiem. Ale dziewczyno, postałaś za kraty dwóch niewinnych ludzi! Czy ty masz sumienie?

– Nie zabiłam Rózki. Nie ma pan inspektor dowodu. Wróciłam do domu kwadrans przed dziesiątą. Menylowa kłamie, że pięć po dziesiątej. Albo się jej pomyliło, może pijana była. Adwokat mnie z tego wybroni...

– Znasz się, widzę, na śledztwie. Ach, lubisz krew, pamiętam, jak mówiłaś. Dobrze, założmy, że to jeszcze nie dowód. A co powiesz na to?

Łukomski gestem iluzjonisty wyciągnął z szuflady małą paczuszkę i podsunął dziewczynie pod oczy. W paczuszce był kosmyk włosów, które zamordowana Lempertowa ścisnęła w ręce.

Dziewczyna na ich widok wydała przeraźliwy okrzyk. To były jej włosy. Padła na kolana, zaniósł się spazmatycznym płaczem.

Krzyczała histerycznie, żeby ją zabić, bo udusiła Różkę. Inspektor złagodniał. Spytał, czy nie wezwać lekarza. Mówił, że zdaje sobie sprawę, iż popełniła zbrodnię z biedy i braku perspektyw na poprawę losu. Na pewno sąd weźmie to pod uwagę.

– Niczego pan inspektor nie rozumie – przerwała mu, już nie płacząc. – Pan inspektor ma dobrą pensję w policji. Nie wie pan, co to znaczy, gdy człowiekowi grożą wyrzuceniem z domu, bo nie ma z czego zapłacić komornego. Nie wie pan, czym dla dziewczyny jest chodzić świątek, piątek w pocerowanej sukience i butach, co się rozłaza. I nie wie pan inspektor – głos znowu zadrżał jej od łez – co to za uczucie, gdy taka mantylepa ma wszystko, a ktoś inny nie ma nic...

Zbliżały się święta wielkanocne. Matka oświadczyła, że w tym roku nie będzie święconki. Będzie dobrze, jak na chleb wystarczy. Młodsze dzieci płakały. A ona zdecydowała, że wcale tak nie będzie. Pójdzie do Lempertowej, zabije ją i obrabuje z dolarów. Nie wahała się nad wyborem ofiary, bo szczerze nienawidziła Różki za jej sknerstwo i nieużyty charakter. Wiedziała, że nikt po niej nie zapłaci.

Krytycznego dnia, w Niedzielę Palmową, przyszła do niej o 7.30 wieczorem kupić papier listowy i przeprowadzić rozpoznanie miejsca. Wróciła do domu, napisała dla siostry list do jej narzeczonego, ponieważ siostra była analfaberką. A dwie godziny później wyszła, mówiąc, że idzie po papierosy.

Z Piastów na Panieńską szła kilka minut. Przy sklepie niko go nie było. Weszła przez podwórze. Różka przestawiała worek z kartoflami w kąt. Spojrzała pytająco na dziewczynę, a ta uśmiechnęła się i powiedziała, że chce jeszcze papierosów. Poprosiła o dziesiątkę „domowych”. Zapłaciła za nie trzysta tysięcy marek. Gdy w pewnym momencie Żydówka odwróciła się do niej tyłem, chwyciła ją oburącz za szyję i zaczęła dusić. Była od sklepikarki większa i silniejsza, myślała, że łatwo sobie z nią poradzi. Jednak Lempertowa, szarpiąc się, rozpaczliwie walczyła o życie. Wyrwała jej z głowy garść włosów. Dopiero po około trzech-czterech minutach runęła na podłogę.

– Myślałam, że już ją zabiłam, i chciałam szukać pieniędzy, ale Różka jeszcze żyła. To uklęknęłam i przydusiłam jej szyję kciukiem. To było tutaj. – Wskazała podczas wizji lokalnej podłogę przy wejściu za ladę. Zademonstrowała na własnej tchawicy, jak dusiła. – Lempertowa w końcu przestała się ruszać. Wtedy nagle przeraziłam się tego, co zrobiłam. Nie mogłam na nią patrzeć, przykryłam jej głowę workiem z kartoflami. Zapomniałam o dolarach, zapomniałam o papierosach, uciekłam co sił w nogach.

Było po dziesiątej. Musiała zastukać do Menylowej, żeby jej otworzyła bramę. W domu już wszyscy spali. Położyła się do łóżka, ale nie zmrugała oka tej nocy. Rano poszła pod sklep Żydówki w towarzystwie koleżanki, Ireny Hankówny. Były tam już tłum ludzi i policja. Strach dusił ją za gardło. Wydawało jej się, że wszyscy patrzą na nią i wskazują ją jako morderczynię.

Wpadła na pomysł odwrócenia od siebie podejrzeń – jeśli powie, że wczoraj wieczorem widziała zabójcę, nie będą jej traktować jako potencjalnej sprawczyni. Zyska względy. Nie myślała, że policja tak łatwo nabierze się na jej bajeczkę, postanowiła jednak zaryzykować. Najbardziej bała się inspektora, ale i on był naiwny jak dziecko...

Potem, gdy zwolnili Sadzenicę (wskazała go na zdjęciu, bo ktoś musiała wskazać), znowu ogarnął ją strach. Była pewna, że już wszystko wiedzą, gdy kazali jej po raz drugi przyjść na Kazimierzowską. Okazało się jednak, że chodziło o konfrontację z dwoma złodziejami, których złapali w Pasażu Mikolascha. Udała, że się zastanawia, i pokazała na Kędzińskiego.

– Teraz, kiedy już wszystko wyrzuciłam z siebie, jest mi lżej na duszy – powiedziała do inspektora Łukomskiego i komisarza Batorskiego, którzy ją na zmianę przesłuchiwali. Przyznanie się dziewczyny do winy słyszeli dziennikarze, zajmujący się tematyką kryminalną, którzy byli wtedy w komisariacie.

Sprowadzona matka Stefci zemdląła, gdy córka powiedziała jej, co zrobiła. Potem obie długo płakały i się obejmowały. Następnie Łukomski zgodnie z procedurą przekazał podejrzaną sędziemu śledczemu. Sochańska szlochała i żałowała swojego czynu. Sędzia

Roman Witoszyński sam protokołował jej zeznanie. W pewnym momencie zadał pytanie:

- Jak się to, Stefciu, nazywa, to, coś ty zrobiła?
- Mord. – Padła odpowiedź dziewczyny.

A on pomyślał, że Kraków miał smoka wawelskiego, Warszawa ma Syrenkę, a we Lwowie mają Raskolnikowa w spódnicy...

Stefcia Sochańska nie była zagubionym dziewczęciem, które z biedy wstąpiło na drogę zbrodni, a później tego żałowało. Już w kilka dni po przyznaniu się do winy zaczęła wszystkiemu zaprzeczać. Podobno matka, która miała z nią widzenia, przekazała jej, że pewien adwokat chce zapłacić za nią kaucję, aby mogła wyjść z aresztu, i namawia ją, by wycofała zeznanie. Tak twierdził dziennikarz jednej z gazet. Czy była to prawda – nie wiadomo.

Cyniczne oblicze dziewczyna pokazała w sądzie na rozprawie, która odbyła się w dniach 19–25 listopada 1924 r. przed trybunałem sędziów przysięgłych. Sochańska bezczelnie oskarżyła inspektora Łukomskiego, że wymusił na niej przyznanie się do morderstwa, którego nie popełniła, i dyktował jej słowo po słowie, co ma zeznawać. Było to wierutne kłamstwo, wszyscy policjanci, którzy przy tym byli, jak również reporterzy czterech lwowskich dzienników zaprzeczyli w sądzie, jakoby inspektor miał wywierać wpływ na dziewczynę. Owszem, nalegał, żeby zrzuciła z siebie ciężar winy, jednak do niczego jej nie przymuszał.

Gdy trik ze „złym policjantem” spalił na panewce, Sochańska zarzuciła kłamstwo dozorczyńni Menylowej, twierdząc, że w niedzielę wieczorem wróciła do mieszkania przed godziną dziesiątą. Oświadczyła, że ma na to świadków. Przed trybunał powołano trzech strażaków ochotników, znajomych Stefci, z którymi, jak utrzymywała, spacerowała w niedzielny wieczór. Według niej odprowadzili ją pod dom, gdy nie wybiła jeszcze dziesiąta. Ale i tu trafiła jak kulą w płot. Trzej „pompiery” zeznali pod przysięgą, że spacer z Sochańską odbyli innego dnia, natomiast w niedzielę wieczorem nie spacerowali ani z nią, ani z nikim innym, bo padał deszcz.

Przez cały proces oskarżona zachowywała się skandalicznie. Uśmiechała się do publiczności, kokietowała dozorcę więziennego, który jej pilnował. Arogancko odpowiadała na pytania przewodniczącego ławy przysięgłych, radcy Mayera, straszyla świadków.

Obrońca Sochańskiej próbował dowieść niepczytalności dziewczyny. Twierdził, że jest genetycznie obciążona obłądem, ponieważ jej wuj popełnił samobójstwo w szpitalu dla nerwo-wo chorych w Ołomuńcu. Sąd nie zgodził się jednak na badanie psychiatryczne oskarżonej. Uznał, że w tej kwestii wiążące jest orzeczenie lekarza kasy chorych, dr. Feuersteina, który wykluczył u Stefanii schorzenie typu psychicznego i nerwowego.

Wyrok zapadł 25 listopada 1924 r. Trybunał Sądu Okręgowego we Lwowie stosunkiem głosów osiem do czterech uznał Stefanię Sochańską winną zabójstwa Racheli Lempertowej. Ze względu na jej niepełnoletniość skazał ją na siedem lat więzienia.

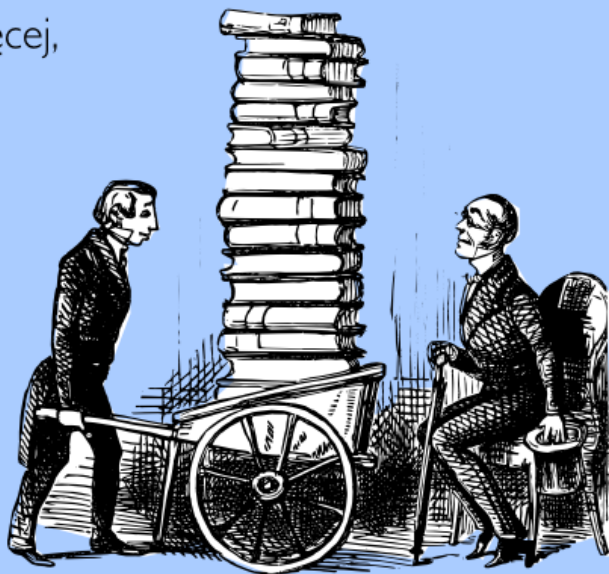
Stefcia pożegnała się z publicznością w swoim stylu. Gdy wy-prowadzano ją z sali rozpraw, odwróciła się i pokazała wszystkim język.

Otwartym pozostało pytanie, czy Kędzierski i Mysłowski ob-rabowali sklep Lempertowej po śmierci właścicielki. Nie można było im tego udowodnić, ponieważ nikt nie wiedział, jaki faktycz-nie majątek posiadała zamordowana kobieta.

Mężczyźni nie nacieszyli się ukochaną Julką. Mularczyków-na w kilka tygodni po wykupieniu jej z aresztu została oskarżona o współudział w napadzie na lwowskiego adwokata, zakończo-nym morderstwem. Na proces Sochańskiej, w którym zeznawała jako świadek, przywieziono ją z Brygidek.



Wziątbym więcej,
ale miałem
słaby transfer.



Kupuj świetne historyczne e-booki i wspieraj ulubiony portal.

Każdego miesiąca do sklepu Hismaga trafiają nowe, ciekawe e-booki. Dochód z ich sprzedaży wspiera działalność pierwszego polskiego portalu historycznego. Po to, by zawsze był ktoś, kto mówi, jak było. Sprawdź dostępne tytuły pod adresem <http://hismag.org/sklep>



[Kup książkę](#)